NOWY
DZWONEK.

PISMO MIESIĘCZNE DLA LUDU POLSKIEGO.

Rok XXIII. — Czerwiec 1916. — Nr. 6.

NAKŁADEM WYDAWCY.

KRAKOWSKA DRUKARNIA NAKŁADOWA W KRAKOWIE.

Adres redakcyi: Kraków ul. Powiśle l. 12.

Prenumerata „Nowego Dzwonka“

wynosi od lipca b. r. o 25 halerzy więcej na półroku: niż dotychczas, t. j. zamiast: 1 Kor. 25 hal. — teraz **1 Kor. 50 hal.**

Ogólna drożyzna zmusza i nas do tego, choć nader małego podwyższenia, które jednak nie dotyczy (do końca tego roku), dotychczasowych czytelników, co już uiścili prenumeratę — tylko odnosi się do nowych czytelników, którzy od lipca zechcą sobie zapisać „Nowy Dzwonek“.

PROSIMY

Szanownych Czytelników naszych o zachęcanie znajomych i sąsiadów do prenumerowania „Nowego Dzwonka“. Szan. Czytelnicy widzą zapewne, że pismo nasze służy dobrej sprawie, bo zdrowej oświacie ludowej — więc kto się stara o rozszerzanie „Nowego Dzwonka“ i nakłania drugich do prenumerowania tego pisma, ten razem z nami pracuje dla oświaty ludu, dla dobra swych bliźnich.

Prosimy także wszystkich Przyjaciół naszego pisma, aby wspomagali nas **osobnymi dodatkami** na **„fundusz prasowy“** dla „Nowego Dzwonka“. Samą bowiem prenumeratą, niepodobna dziś, przy wielkiej drożyźnie papieru, druku i t. p. pokryć wszystkie koszta pisma, a my znikąd żadnej pomocy nie mamy.

Kto dziś wspomaga pismo katolickie, spełnia taki sam dobry uczynek, jakby dawał ofiarę na budowę kościoła; — tak orzekł jeden z ostatnich Papieży.

Rocznik XXIII. Kraków 1. Czerwca 1916. Nr. 6

NOWY DZWONEK

PISMO LUDOWE

WYCHODZI **RAZ** W MIESIĄCU — OKOŁO DNIA **1-go.**

Prenumerata „NOWEGO DZWONKA“ wynosi w Austryi na rok 2 kor. 50 hal. — półrocznie: 1 kor. 25 hal. — Do Niemiec na rok: 3 kor. — Do Ameryki rocznie 1 dolar. — Numer pojedynczy: 20 hal.

Adres: Redakcya „NOWEGO DZWONKA“ w Krakowie, ul. Powiśle 12.

Najważniejsza odbudowa.

(Kilka uwag na czasie).

Ciężkie jest życie ludzkie w obecnej dobie, pod grozą strasznej wojny. Aby podołać jako tako jego obowiązkom, potrzeba i siły większej, i światła i zaparcia siebie.

I po wojnie życie ludów nie będzie już takiem, jakiem było przed wojną; większe będą jego wymagania i większe nasze obowiązki.

Aby sprostać tym wymaganiom nowym, potrzeba już teraz zmienić dotychczasowy, często lekkomyślny sposób życia, i odmienić się zupełnie, innemi słowy trzeba się nam duchowo odbudować.

Wiele dziś mówią i piszą o odbudowie domów, świątyń, chat, o odbudowie rolnictwa i przemysłu. Zapewne, że do życia na tym łez padole, potrzebne nam są i mieszkania i gospodarstwo i przemysł i inne podobne rzeczy, ale jeszcze potrzebniejsza jest odbudowa duchowa, o tyle potrzebniejszą, o ile duch ważniejszy jest od ciała.

A co znaczy odbudować się duchowo? Oto przedewszystkiem należy wydać walkę naszym wadom najszkodliwszym i najczęstszym, walkę na zabój lenistwu, płochości, walkę zbytkownemu życiu i pysze, walkę pijaństwu, rozpuście, pieniactwu i niezgodzie.

Wszystkie te wady były swego czasu powodem upadku Polski — a że dotąd tkwią one w nas — więc gdy przyjdzie

chwila pierwszym naszym obowiązkiem jest pozbyć się wad owych.

A choćby jeszcze nie nadeszła teraz godzina dla Ojczyzny naszej — to i tak musimy się zabrać do odbudowy ducha naszego,

Czy żyć będziemy po tej wojnie w nowych jakichś warunkach politycznych, czy w starych, odmienić się duchowo musimy, bo inne już, jak wyżej nadmieniamy, będą po wojnie wymagania i obowiązki życia, którym nie sprostamy, gdybyśmy chcieli dalej pielęgnować zbytek, pychę, pijaństwo i niezgodę.

Rozdzióbią nas kruki, wrony, zginiemy pośród innych narodów, gdy się nie odmienimy duchowo, gdy się nie pozbędziemy naszych wad wyżej wymienionych.

Chwalebnemi są zjazdy i narady dotyczące odbudowy kraju, ale trzebaby też naradzać się, jak się mamy duchowo odrodzić, jakie środki wymyśleć, by się wyzbyć nałogów, któreśmy wzięli w spadku po praojcach naszych, a które Polskę do zguby przywiodły.

Praca w tym kierunku powinna zająć pierwsze miejsce przed wszystkiemi innemi pracami. Niestety, o tej duchowej odbudowie, zbyt mało się dziś mówi, a to nie jest wcale dobrą wróżbą dla przyszłości naszej.

O Henryku Sienkiewiczu.

W 70 letnią rocznicę jego urodzin.

Dnia 5 maja br. upłynęło lat 70 od chwili, gdy (w r. 1846) w Woli Okrzejskiej na Podlasiu, Józefowi Sienkiewiczowi i Stefanii z Cieciszowskiej przyszło na świat dziecię, które w dwa dni potem ochrzczono i nadano imiona: Hernyk, Aleksander, Adam, Pius.

Tem dziecięciem był Henryk Sienkiewicz, dzisiejsza chluba narodu polskiego, pisarz sławny na cały świat, którego talent nie tylko rodacy podziwiają, ale i obcy. Dla nas jest Henryk Sienkiewicz nie tylko najznakomitszym pisarzem, ale też jednym z najzasłużeńszych i najgorętszych synów Polski.

Przed kilkunastu laty zwiedzał ktoś Wolę Okrzejską, pamiętną urodzeniem Sienkiewicza. Starzy ludzie we wsi pamiętali jeszcze starego pana Józefa Sienkiewicza, że siwiutki był jak go-

łąbek, a gdy odbierał listy od syna „z za morza“, mawiał z uciechą do ludzi: „Nigdy mi bieda nie dokuczy, bo mam syna, co mi się udał“.

Ten syn „udał się“ nietylko panu Józefowi Sienkiewiczowi, lecz wyrósł na chwałę imienia polskiego.

Lata dziecięce spędził Henryk Sienkiewicz we wsi rodzinnej. Nauki szkolne pobierał i ukończył w Warszawie. Poczem uczęszczał do świetnej Szkoły Głównej, zamienionej przed kilku miesiącami na uniwersytet warszawski. Pracę literacką rozpoczął Sienkiewicz od artykułów, pisywanych do warszawskiej „Gazety Polskiej“.

W r. 1876 wyjechał w pierwszą daleką podróż. Przejechał wówczas — jak pisał — Niemcy, Francyę, całą długość Anglii, przepłynął na wiosnę burzliwy Atlantyk, a następnie, jak ptak na skrzydłach, przeleciał niezmierzone przestrzenie wielkiej kolei od Nowego Jorku do San Francisko i strząsnął proch z obuwia swego na brzegach Oceanu Spokojnego.

Jako owoc tej dalekiej podróży po obcych krajach, lądach i morzach powstały Listy z podróży i szereg ślicznych nowel, czyli opowiadań, które wzbudziły zachwyt czytających.

Powróciwszy z za morza osiadł Sienkiewicz na stałe w Warszawie. Często jednakże wyjeżdżał za granicę. Zwiedził Hiszpanię i Afrykę. Podróż tę i wrażenia opisał w Listach z Afryki. Niemniej chętnie spieszył nieraz pod urocze niebo włoskie, do Rzymu i przebywał we Francyi u przyjaciela swego i rodaka, w uroczej miejscowości nad Marną. Lato spędzał zwykle w Zakopanem, u podnóża naszych pięknych gór tatrzańskich.

W roku 1900 obchodził Henryk Sienkiewicz 25 letni jubileusz swej pracy w Warszawie. Zjechały na ten jubileusz różne delegacye z Krakowa, ze Lwowa i z innych stron Polski. Wdzięczni rodacy ofiarowali wówczas ukochanemu pisarzowi wioskę Oblęgorek, jako cząstkę tej ziemi, którą tak ukochał.

Dziś zna Sienkiewicz cały świat, i wszędzie czytają i podziwiają jego prześliczne i zajmujące powieści, które przetłumaczono na wszystkie prawie języki.

Działalność pisarska Sienkiewicza jest nader obfita. Oto tytuły wybitniejszych jego nowel i powieści dawniejszych: Szkice węglem. — Janko muzykant. — Stary sługa. — Hania. — Jamioł. — Bartek zwycięzca. — Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela. — Latarnik, i wiele innych.

Prześlicznem opowiadaniem z dziejów wychodźtwa ludu polskiego do Ameryki jest powiastka: Za chlebem.

Do znakomitych powieści Sienkiewicza należy: Ogniem i mieczem — Potop — Pan Wołodyjowski — Krzyżacy — Quo vadis? Bez dogmatu — Rodzina Połanieckich — Na polu chwały — W pustyni i puszczy.

Powieścią, która zjednała największą sławę Sienkiewiczowi i wzbudziła dla jego talentn największy podziw w całym świecie jest tak zwana trylogia, na którą składają się trzy powieści: to jest Ogniem i mieczem — Potopu i Pana Wołodyjowskiego. Powieść ta dotarła do rąk wszystkich, młodych i starych, zdobyła naczelne miejsce zarówno w pałacu, w domu, we dworze, jak w chacie wiejskiej. Osnuta na tle dawnych wojen, jakie Polacy staczali z Kozakami, Tatarami i Szwedami, porwała mnóstwem przeróżnych obrazów i zdarzeń.

Bo czegóż w niej niema. Bitwy opisane po mistrzowsku, utarczki, pojedynki, oblężenia, uczty, kłótnie, pohulanki, cnoty i wady, czyny bohaterskie i ofiarność wielka obok zdrady czarnej. A całość tchnie takiem życiem, że czytelnik nie może oderwać się od książki i razem z bohaterami powieści raduje się i cierpi, weseli i smuci.

Jeśli trylogia podbiła serca polskie, to powieść Quo vadis? zjednała Sienkiewiczowi sławę wszechświatową. Quo vadis (Dokąd idziesz?) osnuł Sienkiewicz na tle prześladowania chrześcijan za Nerona. Są tu wspaniałe opisy pogańskiego jeszcze Rzymu, wzruszające sceny męczeństwa pierwszych chrześcijan, umierających za wiarę w cyrku rzymskim i palonych żywcem, jako owe sławne „pochodnie Nerona". Powieść kończy piękna scena, która jej nadała tytuł.

Oto św. Piotr Apostoł, na prośby wiernych, opuszcza Rzym, aby ujść prześladowania. Na drodze Appijskiej ukazuje mu się Chrystus. Piotr rzuca się do nóg Zbawiciela i z łkaniem pyta:

— Quo vadis, Domine? Dokąd idziesz, Panie?

Głos smutny i słodki odpowiada Piotrowi:

— Gdy ty opuszczasz lud mój, do Rzymu idę, by mnie ukrzyżowano raz wtóry.

„Apostoł leżał na ziemi, z twarzą w prochu, bez ruchu i słowa... powstał wreszcie, drżącemi rękoma podniósł kij pielgrzymi i nic nie mówiąc, zawrócił ku siedmiu wzgórzom miasta."

Powrócił do Rzymu po śmierć męczeńską.

Podczas obecnej wojny światowej, zamieszkał Sienkiewicz w Szwajcaryi. Tu wraz z Ignacym Paderewskim zawiązał Komitet ratunkowy dla ofiar wojny na ziemiach polskich i pracuje gorliwie nad ukojeniem nędzy naszych braci bezdomnych.

Tak dostojny Jubilat oddał na usługi Ojczyźnie talent i serce. Do wieńca sławy pisarskiej dorzucił klejnot miłości bliźnich, tych najbliższych, z tej samej ziemi, krwi i kości.

Henryk Sienkiewicz, to nietylko wielki pisarz, lecz mąż wielkiego serca i ducha.

Chwała mu i cześć!

Z niedawnych narad

Koła polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego.

Przez wstąpienie do Koła polskiego posłów socyalistycznych, o czem już raz pisaliśmy — znalazło się nasze przedstawicielstwo wiedeńskie w całości pod jednym dachem, z wyjątkiem małej grupki Stapińskiego.

Aby nadać naszej polityce krajowej większą siłę, trzeba było jeszcze nadać jednolity kierunek pracom Koła polskiego i Naczelnego Komitetu Narodowego, który, jak wiadomo, został utworzony zaraz z początkiem wojny i powołał do życia i działania Legiony nasze.

Dotąd obie te najwyższe nasze reprezentacye tj. Koło i Komitet narodowy, szły, każda swoją drogą, i zdarzało się niejednokrotnie, że drogi ich rozbiegały się a to odbijało się ujemnie na całej naszej polityce.

Temu nienaturalnemu stanowi położył wreszcie kres zjazd wszystkich naszych posłów sejmowych i do Rady państwa, tudzież polskich członków Izby panów i członków Naczelnego Komitetu narodowego, który się odbył w Krakowie z końcem kwietnia b. r. i w pierwszych dniach maja.

Wybrano na tym zjeździe nowy Naczelny komitet narodowy, którego prezesem jest zarazem prezes Koła polskiego, a więc zapewniono tym sposobem jednolitość polityce naszej i reprezentacyi krajowej.

Miejmy nadzieję, że ta zgoda stronnictw, zwalczających się dotąd wzajemnie, a nieraz bardzo namiętnie ku szkodzie kraju a ku radości naszych nieprzyjaciół, będzie trwała i dobre spro-

wadzi skutki. Tej zgody i wspólnej pracy naszych wszystkich posłów kraj nasz ciężko wojną dotknięty, bardzo potrzebuje.

Rozprawy na zjeździe krakowskim miały więc charakter gospodarczy, bo stosunki obecne nie pozwalały na omawianie spraw politycznych,

Jakkolowiek, zjazd krakowski nie przyniósł tego, czegośmy się po nim spodziewali, i co do przysłości Polski nie dał narodowi żadnych wyjaśnień, mimo to masz pewną zasługę, bo zjednoczył wszystkie stronnictwa pod jeden sztandar wspólnej pracy dla dobra kraju i tę nadzieję — a nawet poniekąd pewność, że polityka naszych przywódców pójdzie odtąd jednolitym torem, a to w dzisiejszej dobie wiele znaczy. *F. G.*

Dwa wspaniałe obchody pamiątkowe.

Warszawa przeżyła w dniu 3 maja br. nader rzewne chwile. Oto, od czasu, jak się dostała pod łapę moskiewską, dopiero teraz, po raz pierwszy pod rządami Niemców — wolno jej było obchodzić rocznicę, tym razem 125 tą, „Konstytucyi 3 go maja."

To też radość nie do opisania zapanowała w Warszawie, gdy gubernator niemiecki dał swe zezwolenie na ten obchód — a gdy nadszedł dzień 3-go maja, znać było w całem mieście, że to dzień jakiś uroczysty.

Wszystkie domy ozdobiono flagami o barwach narodowych, a liczne gromady obywateli i obywatelek już od rana spieszyły ku kościołowi katedralnemu. Tu o godzinie 9 rano odprawił

uroczyste nabożeństwo ksiądz Arcybiskup Kakowski, po którem wspaniałe kazanie wygłosił jeden z kapłanów warszawskich, poczem ruszył na ulice Warszawy olbrzymi pochód, w którym zgromadziło się przeszło 250 tysięcy osób.

Pochód ten trwał 5 godzin, a wzięło w nim udział duchowieństwo, wszystkie szkoły, i liczne stowarzyszenia. Porządek utrzymywała milicya miejsca. Gdy pochód przechodził koło grupy Legionistów, stojącej u stóp pomnika Mickiewicza, ludzie zdejmowali przed nimi czapki i krzyczeli „Niech żyje Polska!“ Legioniści zaś oddali cześć grupie przechodzących powstańców z roku 1863.

Był to bardzo rzewny obraz. Podobne obrazki można było widzieć i na innych ulicach. Oto na jednym z balkonów przy placu Zbawiciela, zwracał na siebie powszechną uwagę kilkoletni chłopczyk, w uniformie ułana polskiego.

Przechodzące sztandary powiewały przed salutującym orły polskie chłopięciem — i słychać było komendę skautów: „Baczność!“

Para staruszków siwiuteńkich, jak gołębie, wspartych o siebie patrzyła z balkonu przy ul. Marszałkowskiej na płynące fale ludu i na chorągwie narodowe.

Staruszkowie wzajemnie obcierali sobie łzy rzęsiste...

I nie tylko ci płakali, łzy szczerego rozrzewnienia można było widzieć u wielu, wielu osób w pochodzie i u tych, którzy się pochodowi przyglądali.

Gdy pochód doszedł do dworca wiedeńskiego, tu się rozwiązał. Po południu o godzinie 5-ej odbyły się w 96 lokalach zgromadzenia, na których wygłaszano odczyty o Konstytucyi z roku 1791. Wieczorem odbyły się przedstawienia w licznych teatrach warszawskich. Na ludność Warszawy wywarł dzień ten jak najmilsze uczucie i niezatarte wrażenie.

Nie mniej wspaniała manifestacya patryotyczna odbyła się 8 maja na polach racławickich, gdzie Kościuszko odniósł zwycięstwo nad Moskalami.

Od wczesnego już ranka na zboczach i pagórkach racławickich poczęły się gromadzić nieprzejrzane tłumy ludu. Na jednem ze wzgórz, w miejscu, gdzie pochowane zostały szczątki bohaterów z 4 kwietnia 1794 r. wzniesiono krzyż dębowy.

Około godziny 10 rano wyruszył różnobarwny pochód ze sztandarami i banderyami z Racławic do Janowiczek, które wła-

ściwie były terenem walki. Tutaj po przemówieniu jednego z księży Kapucynów odprawioną została uroczysta Msza polowa i dokonano poświęcenia sztandarów. W czasie Mszy odprawiono różaniec za poległych bohaterów.

Po Mszy przemawiał najpierw książe Andrzej Lubomirski imieniem krakowskiego Naczelnego Komitetu narodowego, potem przemawiało kilka innych osób a na końcu włościanin z Miechowskiego, Manterys.

Po południu odbyło się przedstawienie sztuki: „Kościuszko pod Racławicami“, które wywarło na obecnych głębokie wrażenie.

W obchodzie wzięły udział nie tylko liczne rzesze ludu — ale nadto delegaci różnych stowarzyszeń z Krakowa, Dąbrowy, z Kielc, z Miechowa i t. d. oraz przedstawiciele miast i ziemiaństwa.

Rocznica gorlicka.

Do pierwszych dni maja zeszłego roku dwie trzecie Galicyi były w rękach Moskali i linia bojowa ciągnęła się w Galicyi od Karpai wzdłuż Dunajca, a w Królestwie polskiem wzdłuż Nidy, Bzury i Rawki.

Ale nadszedł pamiętny maj 1915 r. W nocy z pierwszego na drugiego zaczęły nagle na całym froncie grzmieć działa austryackie i niemieckie. Rosyanie z początku nie mogli sobie zdać sprawy z tej kanonady, dopiero o 6-ej z rana rozpoczęło się piekło na dobre.

Tysiąc trzysta dział ciężkiej i lekkiej artyleryi zionęło ogniem na przestrzeni Gorlice — Małastów — Tarnów — Otfinów i po czterogodzinnej strasznej kanonadzie, na którą Rosyanie nie mogli również silnie odpowiedzieć z braku amunicyi, o godzinie 10 rano, ruszyły wojska sprzymierzone austryackie i niemieckie do szturmu na pozycye rosyjskie.

Szczególnie gwałtowny i silny był atak na linii Gromnik — Małastów-Gorlice, a równocześnie pod Otfinowem (na północ od Tarnowa) wojska austryackie przeszły Dunajec.

Wojska rosyjskie zaskoczone tą ofenzywą nie mogły nigdzie wytrzymać natarcia, i front wojska pękł, a wiekopomna bitwa pod Gorlicami stała się punktem zwrotnym w całej tej wojnie, pomyślnym dla Austro-Węgier i Niemców, a po-

czątkiem klęsk — dla Rosyi. Po bitwie pod Gorlicami zaczęli się Rosyanie pospiesznie wycofywać z Galicyi, potem z całego Królestwa, z Litwy, i Białorusi.

Każdy następny dzień przynosił Rosyanom nową klęskę, a wojskom sprzymierzonym nowe zwycięstwo.

W dniu 5 maja odzyskany został Tarnów, 6 maja Dukla i Jasło, 7 maja Krosno, Pilzno, Szczucin i inne miasteczka; o Przemyśl rozpoczęła się walka 16 maja, zakończona 3 czerwca zdobyciem zniszczonej twierdzy. W dniu 8 czerwca zajęty został Stanisławów, 22 czerwca Lwów, 30 lipca Lublin; 4 sierpnia padł Dęblin, a 5 sierpnia książę Leopold Bawarski wszedł do Warszawy... A potem jedna po drugiej padały twierdze rosyjskie: Łomża, Kowno (17 sierpnia), Modlin (19 sierpnia).... W dniu 15 września zajęty został Pińsk, 19 września Wilno; pod Rygą zacięte zaczęły się walki.

W takim to niewstrzymanym pochodzie wojska austryackie i niemieckie przez pięć miesięcy parły przed sobą Rosyan ciągle na wschód, aż wreszcie w październiku i listopadzie ustaliła się obecna linia bojowa, ciągnąca się wzdłuż Strypy i Styru w prostej linii na północ, hen ku Bałtyckiemu Morzu. — Rosyjska armia zdołała wprawdzie wycofać i uratować część swoich sił, ale zdemoralizowana, straciła w odwrocie wiele set tysięcy jeńców i wiele tysięcy dział — i wszystkie twierdze!

Przełamanie frontu rosyjskiego pod Gorlicami było obmyślane przez naczelnika austryackiego sztabu generalnego, jenerała Conrada von Hoetzendorfa, a wykonał je Mackensen, dowódca niemiecki, którego cała armia w ciągu dwóch tygodni w największej tajemnicy przewieziona została do Galicyi i sprowadzona na pozycyę.

Dnia 2 maja br. jako w pierwszą rocznicę tej wiekopomnej bitwy, odbył się w Gorlicach pamiątkowy obchód. Na spalonym rynku wobec zebranej licznie publiczności, odprawił Mszę polową ogromnie zasłużony ks. kanonik Świeykowki i wygłosił odpowiednie kazanie. Po Mszy odśpiewano pieśni patryotyczne. Równocześnie odbyło się nabożeństwo w zborze żydowskim. Wieczorem palono ognie na przesiąkłych krwią wzgórzach okolicznych. Cały obchód urządzony był przez ludność cywilną. Niepogoda psuła trochę całą uroczystość.

Gorlice doznały w skutek tej bitwy srogiego losu. Skutkiem ostrzeliwania w ciągu walk z 1296 domów, ocalało zale-

dwie 46 domów, reszta legła w gruzach lub spłonęła. Ulice przedstawiają się dziś jako same ruiny, po których błąka się smutny przechodzień, obywatel tamtejszy. Biedni ludzie!

Obrońcy zbrodniarzy.

Na ludność gminy Baranowa w części Królestwa polskiego, zajętego przez armię austryacką, nałożyła c. k. komenda wojskowa w Wierchniku 1000 koron grzywny za to, że mieszkańcy tejże gminy ułatwili ucieczkę pewnemu przestępcy, poszukiwanemu przez żandarma.

I nie tylko ucieczkę ułatwili mieszkańcy Baranowa zbrodniarzowi — ale nikt z mieszkańców, którzy go ukrywali między sobą, nie chciał wyjawić jego nazwiska, a gdy żandarm zbrodniarza chciał ująć, i przyszło między nim a żandarmem do walki, ludność wsi stanęła po stronie zbrodniarza i umożliwiła mu ucieczkę.

Takie wypadki zdarzają się obecnie dość często po wsiach w Królestwie polskiem, świadczą zaś one bardzo źle o tamtejszym ludzie polskim.

Władze wojskowe austryackie, dla dobra ludu — chcą wytępić w Królestwie bandytyzm i wychwytać zbrodniarzy — a lud polski, zamiast pomagać władzom w tej pracy — staje po stronie zbrodniarzy.

I gdzie ten lud ma rozum? gdzie u niego jakie poczucie uczciwości? strasznie zepsuł go Moskal — swemi rządami.

Nie ma co mówić, najniżej pod względem oświatowym i moralnym, stoi dziś ta część ludu polskiego, nad którą panował Moskal.

ROZMAITOŚCI.

Z powodu coraz większej drożyzny

druku, papieru, jako i innych artyknłów drukarskich i z powodu ogólnej drożyzny, nie możemy dalej dawać „Nowego Dzwonka“ po cenie dotychczasowej, lecz musimy podwyższyć choć coś nie coś jego prenumeratę, mianowicie na pół roku o 25 halerzy, a na rok o 50 halerzy.

To podwyższenie jednak nie dotyczy (do końca tego roku) czytelników dotychczasowych, którzy już uiścili prenumeratę na rok bieżący, lecz odnosi się do nowych czytelników, którzy od lipca b. r. zechcą sobie zapisać „Nowy Dzwonek“,

Odtąd więc „Nowy Dzwonek“ kosztować będzie na pół roku: **1** kor. **50** hal. (zamiast 1 kor. 25 hal.) — a na rok: **3** korony (zamiast 2 kor. 50 hal.).

Gdyby się było zgłosiło w tym roku z prenumeratą więcej czytelników, niż się zgłosiło, moglibyśmy byli — mimo drożyzny — dawać „Nowy Dzwonek“ w cenie tańszej — ale niestety — obecna liczba czytelników jest taką, że prenumerata od nich, nawet z nadesłanymi naddatkami nie wystarcza na pokrycie ani połowy koształów wydawnictwa, więc podwyższyć prenumeratę musimy.

Wypadki ze znalezionymi nabojami. We wsi Łukowcu, koło Żurawna, zdarzył się straszny wypadek. Czworo dzieci, dziewczyna lat 17, chłopiec lat 14, dziewczyna lat 13 i małe dziecko znalazły minę. Chłopiec uderzeniem siekiery spowodował wybuch miny. Skutek był straszny. Chłopiec na miejscu został rozszarpany, to samo stało się z dziewczyną młodszą, która stałe za ścianą, dziecko, które bawiło się na dworze, zostało zranione w brzuch i dogorywa, dziewczyna zaś starsza, która stała za drugą ścianą, została pokaleczona.

O podobnych wypadkach donoszą też z innych stron kraju. I tak: Paweł Klucznik, liczący 14 lat, z Hoszan, powiat Rudki, bawił się w pierwszy dzień świąt znalezionym w polu nabojem. Podczas tego nabój wybuchł raniąc go bardzo ciężko. Ponieważ stan poszkodowanego jest bardzo groźny, przeto rodzice Piotr i Marya Klucznikowie odwieźli go do lwowskiego szpitala na leczenie, gdzie lekarze natychmiast przystąpiii do wykonania operacyi.

15-letni Łuć Iwan, zamieszały przy rodzicach w Brodkach, powiat Lwów, znalazł na polu swych rodziców bombę. Bombę tę, niosąc do domu tak nieostrożnie trzymał w ręku, że ta wybuchła raniąc go ciężko w obie ręce. Nieszczęśliwą ofiarę nieostrożności ojciec zawiózł do szpitala we Lwowie.

W Polance, powiat Lwów, wyorał na polu Jan Węglowski, liczący 25 lat, nabój, który przyniósł do domu. Węglowskl postanowił z tego naboju zrobić dla siebie cygarniczkę. W tym celu zaczął piłować go, podczas czego nabój wybuchł, raniąc

Węglowskiego w twarz i ręce. Prócz ran, Węglowski ma jeszcze urwane dwa palce u lewej ręki. I on także zgłosił się na leczenie do szpitala we Lwowie.

Już niejednokrotnie przestrzegały gazety — przed ruszaniem znalezionych pocisków i min, zalecały jak największą otrożność w takich wypadkach, ale ludzie, zwłaszcza dzieci, na to nie zważają i stąd dużo już było w naszym kraju nieszczęśliwych wypadków spowodowanych znalezionymi pociskami. Najlepiej nie ruszać takich pocisków, lecz dać znać o nich żandarmeryi, lub wojskowości, jeżeli w pobliżu jest wojsko.

Dziewczęta strażaczkami. We wsi Gorzycach, w powiecie tarnobrzeskim, utworzył się z powodu braku mężczyzn, powołanych na wojnę — korpus strażacki żeński, złożony z 13 dziewcząt. Mają one otrzymać specyalne umundurowanie.

Jak trwoga to do Boga. Gdy Moskale mieli w roku 1914 wkroczyć do Lwowa, wtedy wielu właścicieli kamienic, aby uchronić domy przed rabunkiem ze strony żołdactwa rosyjskiego, powywieszało na bramach kamienic obrazy święte. Cały Lwów stał się wówczas miastem katolickiem, bo każdy wierzył, że pobożny sałdat rosyjski ominie dom, którym się opiekuje Matka Boska.

Przyszedł czas, że Moskale Lwów opuścili, a wtedy i obrazy święte z bram kamienic poznikały, lub wiszą dalej, ale podarte i zabrudzone. Minęła trwoga — uleciała z nią i pobożność lwowskich kamieniczników.

Najstarszym sierżantem w armii austryackiej jest Polak p. Michał Drozdowski, rodem z Galicyi. Liczy on obecnie 86 lat a służył 20 lat jako żołnierz, potem 34 lat jako podurzędnik pocztowy. Jako wachmistrz kirasyerów brał udział w wojnach r. 1859 we Włoszech i 1864 w Szlezwiku-Holsztynie. Posiada wiele medali zasługi i medali honorowych, wśród nich medal za waleczność z r. 1859.

Jako uchodźca z Jarosławia, bawił p. Drozdowski podczas wojny w Kunicach na Morawie u swojej rodziny i stąd zgłosił się do wojska jako ochotnik. Lekarska komisya asenterukowa uznała go za zdolnego do lekkiej służby, poczem otrzymał zajęcie jako sierżant rezerwowy w szpitalu wojskowym w Bernie, a teraz w garnizonowym szpitalu w Przemyślu nr 3.

Cesarz niemiecki Wilhelm zasłyszawszy o tym niezwykłym wojaku, zapragnął go widzieć i poprosił cesarza Franciszka Józefa, by pozwolił p. Drozdowskiemu pojechać do Berlina. Tu

przyjął cesarz niemiecki serdecznie sędziwego żołnierza i oświadczył, że bardzo się cieszy, iż może poznać takiego pełnego tężyzny Polaka.

Ojciec Drozdowskiego jeszcze żyje i liczy 114 lat życia.

Pieniądze z pola wojny. W styczniu bieżącego roku wysłali żołnierze pocztą polową do swych rodzin przeszło 32 miliony koron. Również i w grudniu roku zeszłego wynosiła przesyłka pieniężna od żołnierzy z pola walki taką samą kwotę.

Bomby nad Czerniowcami. Jedno z czerniowieckich pism podaje następujące obliczenie bomb, na Czerniowce rzuconych: w roku 1915 dnia 19 kwietnia 3 bomby, dnia 20 kwietnia 5 bomb, dnia 22 kwietnia 2, dnia 30 kwietnia 10, dnia 1 maja walka lotników, dnia 14 maja 3, dnia 15 maja 3, dnia 26 maja 2, dnia 14 sierpnia 1, dnia 15 września walka lotników, dnia 23 września 4, dnia 25 września 2, dnia 28 września 3, dnia 7 października 21, dnia 8 listopada 1, dnia 9 listopada 2, dnia 26 listopada 3, dniu 15 grudnia 3, dnia 30 grudnia 5; w r. 1916 dnia 16 stycznia 4, dnia 20 stycznia 6, dnia 2 lutego 3, dnia 11 lutego 15, dnia 5 kwietnia 6, dnia 30 kwietnia 50, razem 157 bomb.

Jak Berlińczycy umieją oszczędzać. Od czasu trzeciej wojennej pożyczki niemieckiej (w listopadzie) wkładki do miejskiej Kasy Oszczędności w Berlinie wyniosły o 13¹/₄ miliona marek więcej, niż wypłaty. Ogółem w roku 1915 złożono do kasy 120 milionów 400 tysięcy marek, a pobrano, nie licząc subskrypcyi na pożyczki, 62 miliony 900 tysięcy i oszczędności więc wyniosły 58 milionów 100 tysięcy marek.

Człowiek o dwóch sercach. Przed komisyą wojskową w Szegedinie (na Węgrzech) stanął młodzieniec, Oskar Bokovics, co do którego lekarz wojskowy stwierdził, że ma dwa zupełnie normalnie działające serca. Oba serca umieszczone są po lewej stronie obok siebie.

Z POLA WÓJNY.

Zwycięzkie walki na fronnie włoskim.

Najważniejszą dziś wiadomością z pola wojny — jest — jak zaznaczają gazety holenderskie — austryacka ofenzywa w południowym Tyrolu, a raczej na całej linii bojowej od strony Włoch.

Ofenzywę tę rozpoczęła armia austryacko-węgierska 15-go maja b. r. i to z dobrym skutkiem, zwłaszcza w południowym Tyrolu, gdzie wyrzucono wojska włoskie z kilku ważnych i obronnych punktów na szczytach gór, zdobyto przeszło 100 dział i kilkadziesiąt karabinów maszynowych, a do niewoli wzięto 23000 żołnierzy.

Od początku wojny włosko-austryackiej, która trwa rok, — ponieśli Włosi teraz największą może klęskę.

Dnia 17 maja ruszyło kilka aeroplanów austryackich na Wenecyę i na miasta Treviso i Udine w północnych Włoszech i rzuciło bomby, które zburzyły kilka domów i pozabijały kilka osób.

Z frontu wschodniego.

Między wojskami austryackiemi i niemieckiemi z jednej strony a wojskami rosyjskiemi z drugiej strony, nie było od dłuższego czasu większych walk. Tu i owdzie grają tylko armaty i odbywają się małe potyczki.

Ale ten spokój nie długo już podobno potrwa. Rosya nagromadziła wielkie masy wojsk w okolicy Tarnopola i na granicy rumuńskiej oraz bukowińskiej. Sam car bawił niedawno na tym froncie — co ma być znakiem, że niebawem rozpoczną tu Moskale wielką ofenzywę, którą kierować będzie znowu wielki książę Mikołajewicz.

Z frontu zachodniego.

Pod Verdun we Francyi trwają dalej zacięte walki między dwiema olbrzymiemi armiami, t. j. niemiecką i francuską.

Niemcy zdobywają ciągle pozycye francuskie i odpierają ataki Francuzów, którzy usiłują odebrać utracone koło Verdun wzgórza. Francuzi zgromadzili pod Verdun podobno 800 tysięcy żołnierzy i cztery tysiące dział.

Toczy się tam walka na śmierć i życie. Niemcy wyrzucili na twierdzę Verdun już przeszło 30 tysięcy pocisków; Verdun staje się z dnia na dzień wielkim stosem gruzów. Duńskie gazety piszą, że jeżeli Niemcom uda się zdobyć Verdun, to nastąpi prawdopodobnie rozstrzygnięcie wojny.

Aby pomódz Francuzom, wysłała tam Rosya trochę swojego wojska, ale wątpić należy, czy to co wpłynie na korzyść armii francuskiej, bo i Niemcy nie próżnują, ale również zgromadzili znaczne siły pod Verdun.

Złote myśli i zdania.

Mądry przyjmuje radę, głupi nią pogardza i po tem go poznać można.

*

Jako łódź na wodzie i ptak na powietrzu nie znać gdzie przeleciał:
Tak głupich i gnuśnych żywota żaden ślad nie zostaje.

*

Acz pożyteczną jest mowa
Pohamuj ust swych ochotę
Srebrnemi mogą być słowa
Milczenie jest szczerozłote.

Do okoła chaty.

(Pogawędka).

Słyszałem, że się czasem ludzie obrażają, gdy się mówi: chałupa, chata — ma się mówić: dom. Zgoda, nie mam i nie mogę mieć nic przeciwko temu, ale mnie się ta nazwa: chata, bardzo podoba, jak się to mówi chata, to jakoś cieplej koło serca, przyjemniej, nie gniewajcie się przeto mili czytelnicy, że ja mówię chata, — kto chce nasze, polskie, stare, nazwy zachować, zdaje mi się, że nigdy inaczej nie mówi.

Chata, to niby gniazdko, w którem mieszka rodzina, a tak, jak u ptaszków ma więcej zajęcia w gniazdku samiczka, tak i u ludzi matka jest i powinna być duszą cnoty. Dzięki Bogu minęły te czasy, kiedy to chata ginęła w kupie nawozu, jedynie dym wychodzący ze strzechy, wskazywał że tam ludzie mieszkają. I nie dziwota — kominów nie było, bydlęta, konie, mieszkali w jednej izbie z ludźmi, — nawóz wywalało się prosto z progu w dół dosyć głęboki, z którego spływała do rowów przydrożnych.

Gdy gnój wywieźli w pole, trzeba było się dobrze wspinać, by się dostać do chaty, bo było wysoko. Koło ścian był taki porządek, że trudno przejść było, — okienko małe, zabite gwoź-

dziami od nowego, nigdy nie myte, by tam przez nie broń Boże słoneczko nie zaglądnęło i nie oświeciło izby czarnej i zadusznej! Może ta jeszcze gdzie są takie wioski, ale to chyba tam, gdzie się nie może dostać oświata, gdzie nie dojdzie dobra gazeta lub książeczka, gdzie pewnie panem żydowin, a kościoła niema!

Oj! jeżeliby tak było, to wielki żal takich biednych ludzi, bo i gospodarka musiałby tam być bardzo licha. — Wioski nasze coraz jaśniejsze, piękniejsze, bo i dusze jaśniejsze, i serca weselsze i umysły swobodniejsze, bo oświata oczyściła je z pyłu wiekowej ciemnoty. — Jednego jeszcze brak wielki na ogół: za mało sadów i prawie nic warzyw.

Wiele już ludzie papieru zadrukowali o sadach i warzywach, wiele już było kursów, zakładają sady wzorowe, ale ich jest mało! — Jest tu znów zrozumienie dobrej sprawy? Wielu się zdaje, że sad to pańska rzecz, to zbytek i to jest mylne bardzo. Prawda, że dawniej były sady tylko przy dworach i plebaniach, choć i te sady służyły całej wsi, bo choćby ta niewiem jaki był ogrodnik, sadownik, wartownik, to spryciarze potrafili w nocy, na doświtki dostać się do sadu i nietylko jabłek i gruszek narwać, ale i gałęzie połamać, a dozorcy nabić guza!

Z tego widać, że owoce wszyscy lubią, bo to i dobre i bardzo zdrowe. — Dziś mamy czasy ciężkie, dwory pewnieby sady skasowały, gdyby nie dawały pożytku, dochodu, przeciwnie są dwory, które starannie sad pielęgnują, by mieć z niego dochód. Jedna wielka bieda, hańba we wieku oświaty, że chcąc mieć owoce trzeba sad tak ogrodzić, by nawet kot nie wlazł, bo przed takim specyalikiem, co lubi cudze jabłka, ogórki, to niema ogrodzenia, on kota prześcignie w łażeniu.

Ogrodzenia takie są bardzo kosztowne i świadczą, że czegoś nam jeszcze brakuje, byśmy byli prawdziwymi ludźmi, — że jeszcze nie umiemy szanować cudzej własności i gdy o tem piszę, to mnie coś okrutnego za serce ściska, niby żal, niby wstyd, że się jeszcze tak dzieje. — Inaczej by wioski nasze wyglądały, gdyby były sady.

Znikłyby te obrzydliwe a drogie płoty, każdy miałby swoje owoce, nie trzeba by się tak bronić przed owocokradami, zagrodziłoby się drutami lub żerdziami, by chudoba szkody nie czyniła! Sad daje wiele pożytku, bo owoce, suche gałęzie na opał, chroni bardzo od wichrów i ognia, upiększa chatę i świadczy, że wioska taka w kulturze.

A czy może to koszt wielki? broń Boże! szczepy sprzedają tanio, a są wsie, gdzie sami gospodarze i młodzież umieją szczepić, okulizować, nabrali zamiłowania do sadów i pielegnują je starannie, bo byli na kursie i przekonali się, że to sprawa dobra. Towarzystwa gospodarskie zakładają sady wzorowe po wsiach, by ludzi zachęcić, ale to nie przynosi tych owoców, jakich się spodziewają, bo znów drudzy czekają, by i im taniej założyli, jakby się tu rozchodziło o tysiączki.

Nauka to skarb największy, nie potrzeba do niej jeszcze subwencyi, bo to żebranina. — Znam młodzież, która się ogromnie cieszy, że sobie sama drzewka poszczepiła, i wierzę w to mocno, boć to najprzyjemniejsze, gdy sobie człowiek sam coś zrobi.

Matki i siostry kochane! starajcie się koniecznie, proście o to swoich, by koniecznie przy każdej chacie było choć parę drzew owocowych, przekonacie się, jakie to wielkie dobrodziejstwo.

A jakaż to radość będzie, gdy swojemu synkowi zasadzi, lub zaszczepi drzewko i odda mu je pod opiekę; i dziecko będzie lepsze, umoralni się, będzie Bogu i ludziom milsze, ustaną kradzieże, a temsamem tyle nieraz obrazy boskiej, ba! nawet skarg i terminów sądowych.

Dokąd sad młody, można w nim uprawiać różne warzywa. Choćta człowiek nie jest stworzony na to, by dobrze i smakowicie jadał i palce oblizywał, toć jednak jedzenie smaczne z różnemi odmianami, smakuje, poprawia zdrowie i humor i nieraz gospodarz zjadłszy smacznie miłem okiem łyśnie na gosposię za te dary Boże.

Nieraz sobie myślę: co też ta lub owa kobieta gotuje przez całą zimę do jedzenia? przecież ziemniaki, kapusta, kasza i coś z mąki, bez żadnej odmiany, muszą się przejeść. A dał Pan Bóg tyle dobrych, zdrowych i tanich warzyw, byle kawałeczek ziemi, grządkę niemi obsadzić. Ogórki, — wyborne kiszone, czy też świeże jako mizerya, a ogórczanka i zdrowa i przesmaczna! buraki ćwikłowe, z nich barszcz i ćwikła, a nawet tylko upieczone, okrutnie dobre, — sok ze świeżego buraka służy do płukania bolącego gardła i bardzo pomaga, — marchew daje wiele krwi zdrowej, — pietruszka nieraz bardzo potrzebna nawet dla zwierząt w pewnych chorobach, — seler, cebula, fasola, groszek cukrowy, wszystko to daje wiele pożytku a prawie nic nie kosztuje.

I tu w ogródku ważywnym, śliczne zajęcie dla dzieci, bo plewienie, podlewanie, pilnowanie, by kury nie zgrzebały, a gęsi i kaczki nie zeszczypały, obiecać za to coś dzieciom, będą się cieszyć, a ty matko będziesz miała spokój i zadowolenie, żeś pracowała uczciwie, — będzie też z czego dla domu zgotować doskonałe potrawy, oszczędzisz grosza, który się na co innego przyda, a cała rodzina zyska na zdrowiu moralnem i fizycznem. Poradzić się jegomości, w szkole, we dworze, skąd i jakie nasionka sprowadzić, nikt tej pomocy nie odmówi, wypadnie taniej i w Imię Boże zabierzmy się do pracy!

Biała chorągiew.

Jacentowa, Herod baba, a jednak uciekły z niej wszystkie siły, moc z jej kości wyszła. Widzi, że ona nie jest z lepszej gliny. Wójta dom granat zburzył, w łęgu wpadł szrapnel do chaty i troje dzieci uśmiercił, stodoła naprzeciw się pali. Przyjdzie na koniec jej i jej chałupie. Nasze wojska ustąpiły, rosyjskie wojska zbliżają się i prą naprzód. A gdy rosyjskie wojska prą naprzód, szrapnele austryackie coraz gęstsze. Wyją, kwiczą, pękają nad rosyjskimi strzelcami, którzy są już we wsi. Maszynowe karabiny ślą krocie kul, nawet krochmalną białą spódnicę, która się w sieni suszyła, przeszyły dwie kule. Już idzie śmierć i pożoga. Z Bogiem umrzeć trzeba. Poszukała okularów, otarła książkę i mówi modlitwy za konających:

„Kiedy oczy moje ociemniałe i obłąkane bojaźnią śmierci zatopią się w Tobie, miej politowanie nademną miłosierny Jezu!

„Kiedy z rąk moich drżących i skrzepłych wypadnie Krucyfiks, miej politowanie nademną, miłosierny Jezu.

„Kiedy lica moje zielone i zsiniałe w przytomnych postrach budzić będą, miej politowanie nade mną, miłosierny Jezu!"

Gdy Jacentowa się modli, dziwna rzecz się dzieje. Co moment chyłkiem wpadnie sołdat. Wpadnie drzwiami, oknem. Wpadnie i wtuli się w kąt. Zwija się w kłębek. Za piecem jest ich trzech, pod łóżkiem dwóch. Milczą. Straszliwy strach śmierci w ich oczach. Wielu z nich modli się, prawie wszyscy dziesiątkiem krzyżów znaczą swoje piersi i czoła. Ten najbliższy Jacentowej nie modli się i nie żegna, bo zęby febrą szczękają. Uciekają z gradu kul, uciekają z roli. Na roli nie sieje dziś kmieć

pszenicy, gniew boży dziś na tej roli kule sieje. Uciekli, ci zieloni ze strachu ludzie, chcą żyć dla siebie, dla dzieci...

Czeka na śmierć Jacentowa, śmierć nie idzie. Coraz głośniej warczy broń, maszynowe karabiny terczą gęściej, niż żelazne zęby sieczkarni, a śmierć nie idzie. Złożyła książkę, przetarła szybę, która zaszła parą...

— A to co?

W głosie Jacentowej było takie zdziwienie, że modlitwy zcichły.

— A toć to naskie *) wojsko...

— Awstryjcy?

— A tak. Awstryjce! Nacierają! Moskale cofnęli się ze wsi.

Powstał straszny zamęt w chałupie. Żołnierze uciekli przed jedną śmiercią, idzie śmierć druga.

— Wykłują nas! Wymordują!

— Czekać! — krzyknęła Jacentowa.

— Ratuj nas, kobieto! Schowaj!

Jacentowa jeszcze raz spojrzała w okno, zamyśliła się.

— Karabiny rzućcie!

Żołnierze posłuchali baby, rzucili karabiny na ziemię. Jacentowa wyszła do sieni, otwarła drzwi na pole. Otwarła i cofnęła się. Z wylotów strzelb austryackich leci grad szerszeni, który gwiżdże, syczy, dźwięczy, płacze. Jacentowa w mgnieniu oka zebrała ducha. Chwyciła grabie, przywiązała do zębów białą krochmalną spódnicę. Wyszła przed chatę, podniosła w górę grabie.

— Za mną!

Oficer austryacki natychmiast przez lornetkę rozpoznał babę, białą chorągiew i gromadkę bezbronnych mołojców. I stała się rzecz nadzwyczajna. Kilkanaście kroków linii strzeleckiej jak na komendę ognia zaprzestało. Z tych szeregów nie grad ołowianych szerszeni, lecz olbrzymi, szalony, homeryczny śmiech leci. — Idzie naprzód Jacentowa z grabiami i w niewolę wojsko wiedzie. Wiatr szumnie i hucznie łopoce białą spódnicą. Otwarła się strzelecka linia, przepuściła Jacentową i wojsko, poczem zamknęła się z powrotem. Jacentowa wzięła do niewoli trzydziestu dwóch chłopa.

„Naskie“ — nasze.

O bogaczu, który 70 kościołów wystawił.

Pod Wrocławiem, na śląsku i wielu miastach polskich stoją jeszcze po dziś dzień dawne kościoły, które przed ośmiuset laty wystawił wielki bogacz Piotrek z Włostowic.

O tym bogaczu dziwne krążą wieści. Opowiadają, że rabował okręty handlowe na morzu, w ten sposób zebrał wielkie skarby. Potem za grzechy żałował i jako pokutę 70 pobudował kościołów.

Kolebka jego stała w rycerskin dworze pod górą Ślezą, sławną od wieków, bo całej krainie dała nazwę Śląska.

Rówieśnikiem był Krzywoustego Bolka. Razem z książątkiem bili w pacholęcych latach tury i niedźwiedzie w puszczach mazowieckich. Razem ruszali na wyprawy pomorskie. Może razem dostali pas rycerski na płockim zamku, kiedy ojciec Bolkowy, Władysław Herman, przez miłość dla syna dopuszczał do rycerskich zaszczytów jego ulubionych młodocianych towarzyszy.

Za rządów Krzywoustego Piotrek został prawą ręką księcia, jego ulubionym wojewodą. W wielu wojnach zasługiwał się księciu i ojczyźnie. Niejedną wtedy zdobycz bogatą mógł wywieźć Piotrek do śląskiego dworu, niejednego przywiódł po zwycięskiej bitwie z pobitych wrogów jeńca-chłopa, która na jego rozkaz drzewa wycinał i pola uprawiał; niejednego też jeńca-rycerza, który się uwalniał za okup bogaty. Wory Piotrowego skarbca od tych zdobyczy wojennych zaczęły się złotem napełniać.

Niezmierne skarby dostał w posagu Piotrek, kiedy pojął za żonę kijowską księżniczkę, wnuczkę bogatego cesarza carogrodzkiego (konstantynopolskiego). Przywiozła ona ze sobą złoto i klejnoty, dywany i jedwabie, relikwie świętych w drogich puszkach.

Było to tak.

Krzywousty wojował z Pomorzanami i wszyscy rycerze z nim poszli na północ. Wtedy przemyski książę Wołodar, krewniak i księcia i Piotra, chciał skorzystać ze sposobności i napaść na krakowską ziemię. Głuche wieści doszły o tem do Piotra. Postanowił przeszkodzić Wołodarowi.

Wziął ze sobą trzydziestu towarzyszy i sług, pojechał w odwiedziny do Przemyśla. Wołodar był mu rad. Ugościł go wspa-

niale, a że mu się właśnie syn urodził, poprosił na kuma. Przez kilka dni bawił się wesoło polski pan na dworze Wołodara, jadł, pił, polował.

Przemyski książę może go chciał na swoją stronę przeciągnąć, może go buntował, przeciwko Bolesławowi — dość, że z otwartemi go podejmował rękami.

Ale Piotr mu się źle odwdzięczył. W ciemnym lesie na polowaniu, kiedy się oddalili od przemyskiego dworca, schwytał nienacka za cugle konia swego kuma. Jego słudzy rzucili się na Wołodara, związali go, wzięli między siebie. Cwałem popędzili w stronę Polski.

Wołodar poniewoli musiał poprzysiądz Krzywoustemu, że wojny nie zacznie i wolność swą okupi sowicie.

Wielbłądy objuczone skarbami szły z Przemyśla do Krakowa, niosąc klejnoty, pieniądze — wiele z nich z książęcego skarbca przeszło do schowków wojewody.

Takim się stał bogatym Piotrek Włostowic, takie miał piękne szaty, tyle sług z nim jeździło, że kiedy pokazał się w niemieckiem mieście Magdeburgu, zakonnicy tamtejsi myśleli, że to jakiś książę przyjechał.

Ale to bogactwo nie dało mu szczęścia. Nie czuł się zadowolonym wśród skarbów, nie wystarczała mu książęca łaska. Za pan brat z księciem żył, po śmierci Krzywoustego stał się najważniejszą prawie w Polsce osobą: Krzywousty mu polecił, by stał się opiekunem i doradcą młodych książąt.

Pomimo to ciężka troska gnębiła Włostowica: sumienie wyrzucało mu zdradę, porwanie Wołodara, który mu wierzył.

I Włostowic szukał ratunku. Pytał się księdza na spowiedzi: usłyszał nakaz, by skarbów swych używał na chwałę Boga i pożytek ludzi.

Zaczął więc Włostowic budować kościoły. Z dalekich stron sprowadzał majstrów, którzy umieli kamień obrabiać, kuć w nim figury i budować gmachy na sposób zachodni.

Sprowadzał zakonników i darowywał im murowane gmachy i ziemię pod uprawę. Nieraz darował i chłopów niewolnych: jeńców wojennych lub dłużników, którzy mu się nie wypłacili.

Książęta dokładali swoje ofiary, krewni i przyjaciele Włostowica — swoje. Rosły kościoły, klasztory i szpitale.

W ten sposób skarby Piotrowe stawały się własnością powszechną.

Do kościołów garnął się lud okoliczny i zdumiony przyglądał się kamiennym ścianom i rzeźbionym figurom.

W klasztorach osiedli pracowici zakonnicy, którzy umieli gospodarować doskonale: osuszali błota, uprawiali starannie pola i przykładem pokazywali całej okolicy, jak chodzić koło plonów.

Co jest życie?

Bajka — nie bajka.

Pewnego dnia, kiedy różnobarwne ptaszki leśne naśpiewały się aż do znużenia i usiadły cicho na gałązkach, milczenie przerwała uczona zięba i zapytała podniesionym głosem:

— Powiedzcie mi, co to jest właściwie życie?

Nie namyślając się ani chwili, odpowiedział skowronek:

— Życie to śpiew.

— Nie, — zauważył kret aksamitny, który co dopiero czarny nosek wysunął z ziemi, — życie, to walka w ciemności.

— Ja sądzę, że życie to rozwój, — szepnęła rozkwitająca róża do motylka, który właśnie krążył nad nią.

Motylek ucałował różę i rzekł:

— Życie nie jest niczem innem, tylko radością.

W następnej chwili jednak dał się słyszeć głos kruka, który zakrakał:

— Życie jest tylko smutkiem.

Jakaś melancholijna muszka zabrzęczała:

— Życie, to tylko krótkie lato.

Ach ono jest pracą i trudem, — westchnęła mrówka, wlokąc źdźbło słomy.

Ale pliszka, zatrzepotawszy skrzydłami, zawołała:

— Życie, to żart!

Wtem zaczął padać deszcz, a kropelki jego mówiły:

— Życie, to dolina łez.

Zaczął zmrok zapadać i mały wróbelek odezwał się:

— Wszyscy razem nic nie wiecie. Idźmy lepiej spać! Ale wietrzyk wieczorny zaszumiał wśród drzew, szepcąc:

— Życie, to tylko sen.

Potem wszystko ucichło i wszystko śniło. A kiedy poranek zaświtał, wietrzyk dziwnie zaczął świstać, wołając:

— Ach! życie jest właściwie wieczną tajemnicą!

Coraz jaśniej robiło się na ziemi, słońce wstało i ozłociło wszystko promieniami swemi. Cała zaś przyroda zdawała się mówić:

— Życie, to dopiero początek.

Tyle mówi nam bajka norwegska, która jest tylko głosem bezdusznej przyrody. Człowiek zaś na pytanie: Czem jest to życie? — odpowiedzieć powinien:

— Życie, to ciągla, bezustanna praca dla wieczności. Jak popracujemy tu na ziemi, taką będzie wieczność nasza.

Boże Ciało u trędowatych.

Straszny jest trąd. Jeszcze nie wynaleziono środka na wyleczenie tej choroby. Dotknięci nią muszą żyć oddzielnie, skazani na powolne konanie. Własne rodziny nie mogą im towarzyszyć. A jednak miłość chrześcijańska, silniejsza od miłości naturalnej względem krewnych, skłoniłą osoby, które poświęcają się na obsługę chorych, a przez to nie tylko ulgę przynoszą, ale i pożytek duchowny, jeśli nie mogą dopomóc ciału. Taka to jest moc religii chrześcijańskiej. Trędowaci, pod opieką duchowną zostający, czują się nieraz szczęśliwsi, niż społeczeństwa zdrowe.

Na dowód tego przytoczyć możemy rzewny opis z życia tych trędowatych w Kolumbii, w Ameryce Południowej.

Mało jest chyba parafij, gdzieby życie religijne tak żywym biło tętnem, jak w Agna de Dios, kolonii trędowatych w Kolumbii.

Ze wszystkich świąt w roku najuroczyściej obchodzone jest Boże Ciało. Wówczas już nie pojedyńczo, ale setkami nędzarze ci przystępują do Stołu Pańskiego; dokładają też najtroskliwszych starań, by i chatki swoje przystroić jak najpiękniej.

Ze względu na skwarne słońce procesya wychodzi dopiero po nieszporach.

Na czele kroczą chłopcy z towarzystwa św. Alojzego. Jakiż wstrząsający do głębi duszy widok przedstawia ta gromadka! Ci niedorośli wloką się, jak starcy, niektórzy oparci na kijach, bez nóg, bez rąk... Choroba, straszliwe robiąc spustoszenie, przeżarła na niejednej twarzy ciało aż do kości...

Za chłopcami postępują szeregi młodych dziewcząt. I tu te same oznaki, piętno nieszczęścia, któremu śmierć tylko kres po-

łoży. Wszystkie biało ubrane; na piersiach zawieszone mają na błękitnych wstążkach medale Niepokalanej Dziewicy. Straż opiekuńczą dzierżą nad niemi Siostry Miłosierdzia. Potem idą dziewczęta z przytułku, wszystkie także chore.

Dalej dąży bractwo św. Józefa. Jego członkowie oddali się pod szczególną opiekę tego Patrona dobrej śmierci, spokojnie i z poddaniem oczekując godziny wybawienia i nagrody. Już piętno swoje śmierć wyryra na niejednej twarzy. Chwieją się na nogach, ręce im drżą, ale żadna ludzka siła nie zdołałaby ich zmusić do wyrzeczenia się zaszczytu honorowej służby przy Zbawicielu.

Następnie idzie bractwo Najświętszego Sakramentu z zapalonemi świecami, a za nim chór śpiewaków, złożony z trędowatych chłopców.

Wreszcie zbliża się Bóg Człowiek, utajony pod sakramentalną postacią. Dźwigają Go drżące, okaleczone ręce trędowatego kapłana. Na twarzy, zmienionej przez chorobę, nie znać ani zmęczenia, ani wysiłku. Ze strzelających w górę promieni monstrancyi spływa na niego moc przedziwna. Zapomniał o niedawnej przeszłości, gdy żył swobodny wśród swoich, bliskich sercu, na ziemi ojczystej. Opuścił to wszystko, by nieść pomoc i ulgę nieszczęśliwym współbraciom. Wkrótce choroba zrównała go z otoczeniem; stał się takim, jakimi byli oni — odciętym od świata żywych na zawsze, bezdomnym, wydziedziczonym. Ale on tego wszystkiego nie odczuwa; z oczu jego bije niezłomna siła miłości i poświęcenia: temi tylko uczuciami żyje. Towarzyszą mu dwaj również trędowaci księża i kilku zakonników.

Kapela muzyczna, składająca się z trędowatych mężczyzn, wygrywa hymny na cześć utajonego Zbawiciela.

Za muzyką postępują córki Najświętszego Serca. Jest to małe zgromadzenie zakonne Sióstr trędowatych.

Za niemi kroczy lud, nie należący do żadnego bractwa.

Pochód zamyka mnóstwo wózków z chorymi, którzy nie mogą się już dźwignąć. A kto nie posiada nawet wózka, ten każe się wynieść przededrzwi, by chociaż, leżąc na tapczanie, ucieszyć oczy i serce widokiem Pana.

Procesya potrzebuje pięciu kwadransy, by odbyć wyznaczoną drogę.

Najbardziej wyruszającą jest chwila błogosławieństwa Najświętrzym Sakramentem.

Gdy kapłan wzniesie w górę złotą monstrancyę, z utęsknieniem biegnie ku niej wzrok wszystkich; wyciągają się ręce — te schorzałe, kalecze postacie, raczej do mar, niż do żyjących istot podobne, ożywiają się na chwilę jakąś wewnętrzną życiodajną siłą, która daje im niepamięć niedoli, krzepiąc zamierającą nieraz odwagę do życia.

Przed ołtarzem leży około dwuch tysięcy trędowatych w ostatnim stopniu choroby. Często oczy stanowią jedyną zdrową cząstkę ich ciała, a i te osłonione są wielkimi okularami. Zaduch od jątrzących się ran i gnijących członków jest tak straszny, że trzeba rozpalać kadzidła. Nigdzie jednak nie słychać ani słowa niecierpliwości lub zniechęcenia.

Mimowoli zginają się kolana przed taką potęgą wiary i miłości. Dla nas żyjących nieraz bezmyślnie życiem bez jutra, uczestniczenie w takim jednym bodajby obchodzić byłoby prawdziwą szkołą życia.

Pożyteczne pouczenie.

Jeneralna dyrekcya kolei żeleznej w Rumunii poleciła umieścić na stacyach i w restauracyach kolejowych następujące pouczenie we formie plakatu.

Napoje alkoholowe: wódka, likier, rum, koniak, wiśniak, a nawet mocne wina są zdrowiu bardzo szkodliwe.

Rumuńskie przysłowie mówi: „Kto pił, ten i będzie pił, dlatego lepiej: nie pić nigdy!“

Nie pozwalajcie nigdy dzieciom kosztować napoi alkoholowych!

Napoje alkoholowe odurzają, rozpalają krew i osłabiają siły człowieka!

Pijacy nie są wytrzymali na zimno.

Kto pije napoje alkoholowe, staje się smutnym, starzeje się prędko i zapada łatwiej na różne choroby!

U wszystkich pijaków choroby trwają dłużej i są groźniejsze!

Napoje alkoholowe są jak każda trucizna zdradzieckie i sprowadzają niepostrzeżenie różne choroby.

Obłęd, gruźlica, choroby wątroby, serca, nerek i żołądka są słabościami, z których rzadko powstają pijący trunki akoholowe.

Strzeżcie się tedy przed trunkami alkoholowymi!

Czyszczenie i mycie zwierząt.

Gdyby człowiek nie wiedział, że ochędóstwo jest potrzebne do zdrowia i życia zwierząt, toby go one same postępowaniem swojem o tem przekonały. Zwierzęta pozostające na swobodzie wyszukują sobie czystych legowisk; oblizują ciało swoje tak daleko, jak tylko językiem dosięgnąć mogą mogą; jeżeli ciało ich czemkolwiek się zanieczyści, wycierają je o przedmioty twarde; samica starannem lizaniem oczyszcza potomstwo nowonarodzone; ptaki wybierają dzióbem odchody swych piskląt; ptactwo wodne często zanurza się w wodzie, a lądowe nabiera w dziób wody i polewa swe pierze.

Czyszczenie skóry jest koniecznie potrzebne nietylko dla koni, ale i dla innych zwierząt. Czyszczenie usuwa ze skóry brud, łuski, naskórek czyli tak zwany łupież, strupy, wydzielony pot i tłuszcz. Łuski naskórka są nietylko zbyteczne, jako obumarłe, ale, co gorsza, są szkodliwe, gdyż tamują przeziew skórny. Wydzielony pot i tłuszcz, zmieszane z kurzem, zanieczyszczają skórę i tworzą na niej strupy.

Przez usunięcie łupieżu i warstwy brudu otwierają się pory skóry i powiększa się jej działalność. Przez czysto utrzymywaną skórę odbywa się należycie przeziew, a to wzmacnia zdrowie, zapobiega różnym chorobom, przyczynia się do wzrostu zwierzęcia. Gdy skóra zanieczyszczona, ciepło z ciała nie może się prawidłowo wydzielać, a niektóre cząstki zużyte, które powinny być wydalone z ciała, zostają zatrzymane, co oddziaływa źle na zdrowie zwierząt. Przy skąpem żywieniu przez skórę wydziela się mniej ciepła, przy obfitem — więcej. Wogóle zwierzęta dobrze utrzymane wydzielają więcej ciepła od wynędzniałych.

Mycie zwierząt nie może zastąpić dokładnego oczyszczenia, ale dopomaga wiele do utrzymania ochędóstwa. W porze jednak chłodnej, wilgotnej, przenikliwej, naieży mycia zaniechać, bo zwierzę mogłoby się łatwo zaziębić i zachorować.

Wilgoć z potu zbierająca się na powierzchni skóry obraca się w parę, ulatnia się i jednocześnie zabiera ciału wiele ciepła. To też zwierzę prędzej się zaziębi, gdy stoi mocno spocone, aniżeli gdy jest na śniegu i deszczu, który po włosach ścieka na ziemię.

Wogóle wilgoć mniej szkodzi gdy zwierzę jest w ruchu, aniżeli gdy stoi. Podczas ruchu bowiem wytwarza się ilość ciepła,

a w spoczynku wytwarzanie ciepła zmniejsza się i dlatego też, gdy koń zgrzany się zatrzyma, należy zaraz wycierać go z potu.

Do obmywania zwierząt używa się wody zimnej i ciepłej. Zwykle obmywa się te części ciała zwierzęcia, których z powodu cienkiej na nich skórki niemożna zgrzebłem oczyścić. Samo obmywanie jednak, jak powiedziano wyżej, nie wystarcza do utrzymania ochędóstwa, nie usuwa bowiem nieczystości nagromadzonej pod sierścią na skórze. Nawet po wypławieniu należy konia wytrzeć i oczyścić zgrzebłem i szczotką.

Pławienie nietylko oczyszcza skórę, ale czyni ją giętką-sprężystą, wzmacnia, usposabia do parowania i odżywia. Przytem pławienie zwiększa chęć do jadła i przeszkadza rozwijaniu się chorób, mianowicie zapalnych. Pożyteczne jest one szczególniej dla zwierząt mających skórę grubą, twardą, zanieczyszczoną. Rozumie się, że koni zmęczonych, spotniałych, nakarmionych, do wody wprowadzać nie należy.

Nie należy też nigdy pozostawiać zwierząt w wodzie dopóty, aż dostaną dreszczów. Wyprowadziwszy konia z wody po, winno się go zaraz wytrzeć słomą i nigdy mokrego do stajni nie wprowadzać. Pławić należy dopiero wtedy, gdy słońce wodę ogrzeje. Gdy woda jest zimniejsza, kąpiel, rozumie się, powinna trwać krócej, gdy cieplejsza, zwierzę może być w wodzie dłużej najwyżej jednak do 15 minut.

RÓŻNE RADY GOSPODARSKIE.

Środek do odstraszenia much i bąków.

Muchy i bąki są dla koni i bydła nieznośną plagą, szczególnie w czasie letnich upałów. Najdokuczliwiej dręczą one zwierzęta w miesiącu lipcu i sierpniu, bo wtedy jest ich najwięcej. Niejeden z gospodarzy musiał już zauważyć, że konie w zaprzęgu, szczególnie młode, trapione od tych pasożytów, narowią się łatwo, a doprowadzone do szału, unoszą, narażając na kalectwo nietylko siebie, ale także jadących.

W myśl uchronienia naszych Czytelników od podobnych niebezpieczeństw, podajemy środek wypróbowany, używany powszechnie we Francyi.

Francuzczy hodowcy sporządzają sobie maść, którą otrzymują przez wygotowanie sporej garści liści bobkowych w jednym kilgrm świńskiego smalcu. By olejek eteryczny z liści

został wyciągnięty, trzeba smalec przynajmniej przez pięć minut utrzymywać w stanie wrzenia.

Tym tłuszczem nasyca się kawałek sukna i wyciera nim konia, jak najdokładniej. Zapach bobkowych liści jest dla owadów tak wstrętnym, że żadna mucha nie siądzie na skórze, wydzielającej tę woń.

Masarze w miastach francuskich nacierają ściany, drzwi i okna tym środkiem i w ten sposób uwalniają swe sklepy od tych nieproszonych gości.

Chronić świnie przed skwarem słonecznym.

Mało który z hodowców dba o to, by świnię w czasie upałów miały na pastwisku schronisko, lub mogły znaleść ochłodę w błotnistej kałuży. A wie przecież każdy, że zwierzę gruboskórne, o znacznym pokładzie tłuszczu, przetrzyma łatwiej silne mrozy, niż przeciętną spiekotę letnią; nic dziwnego, że takie niedbalstwo mści się na hodowcy samym, bo mu zabiera najokazalsze sztuki, które zdychają na choroby zapalne.

Kto się chce uchronić od takich strat, ten niech stawia dla świń na pastwisku daszki ochronne, jak to czynią gdzieindziej. Taki daszek sporządzić można z dwóch pali wbitych w ziemię, w odległości dwa i pół metra. Na palach u góry umocować żerdź poziomo, a na niej od strony południowej oprzeć kilka gałęzi, ustawionych ukośnie. W ten sposób otrzyma się daszek, w którego cieniu może spoczywać pięć dorosłych świń.

Dobra karma dla kur.

Przy wszystkich płotach, murach, nawet na kupach kamieni rosną pokrzywy, ten uprzykrzony chwast pól i ogrodów. Roślina ta i jej nasienie są po wysuszeniu doskonałą karmą opasową dla kur. Suche liście i nasiona należy zetrzeć na proszek i dodawszy żytniej mąki, otrąb i pomyj, albo wody, w której płukano obrane z łupin ziemniaki, zgnieść na ciasto. Z takiego ciasta robi się odpowiednie kawałki w formie klusek, którymi napycha się kury, lub daje im pokruszone; oprócz tego trzeba dawać zwierzętom trzy razy dziennie trochę owsa. Zdrowe kury opasają się przy użyciu tej karmy doskonale w przeciągu trzech tygodni. Mięso jest delikatne i bardzo smaczne, zaś zbiór i suszenie pokrzyw nie przedstawia trudności.

Wydawca i redaktor odpowiedzialny: **Ks. Marceli Dziurzyński.**
Krakowska Drukarnia Nakładowa w Krakowie, Kopernika 8. — Pod zarządem J. Borkowicza

FIGLE I ŻARTY.

Na wsi.

— Gospodarzu, nie macie letniego mieszkania?

— Byłoby, ale dopiero koło lipca.

— A teraz zajęte?

— Ma się wiedzieć: teraz tam siedzi wieprzek; ale w lipcu sprzedamy go na jarmarku, to się w chlewiku otworzy zaraz miejsce.

Milczenie odpowiedzią.

Sędzia: Czy bransoletka, którą skradłeś była z złota, czy z srebra?

Złodziej milczy.

Sędzia: No, co ma znaczyć wasze milczenie?

Złodziej: Czy pan sędzia nie wie, że mowa jest srebrem, a milczenie złotem?

Prosta rzecz.

Czteroletnia Stasia słyszy, jak rodzice rozmawiają o swojem weselu.

— Mamusiu — pyta — a dlaczego ja i Broniś nie byliśmy na tem weselu?

— Jakaś ty dziecinna! — mówi sześcioletni Broniś. — Nie byliśmy przecież proszeni.

Głupie czasy.

— Czy to prawda, kumo, że wasz mąż skazany został na więzienie, za podpalenie swojego domu.

— Co chcecie, moi drodzy, teraz nastały takie głupie czasy, że człowiekowi nie wolno jest nawet robić ze swoją własnością co mu się podoba.

I tak też dobrze.

Starszy jegomość spotyka młodego, o którego naznaczonym ślubie czytał w dziennikach — pozdrawia go tedy serdecznie, mówiąc:

— No, teraz już z pana stateczny człowiek, dzięki Bogu ożeniłeś się, szczęść wam Boże!

— Nie, ślub odroczony — odpowiada nieśmiało niedoszły małżonek — odroczony na nieoznaczony czas, możliwie, że nawet nie przyjdzie do skutku.

— A to ciesz się pan, żeś się nie nabawił kłopotu, jaki sprawia żona!

